



**UNIWERSYTET
MIKOŁAJA KOPERNIKA
W TORUNIU**

Program „Absolwent UMK”



Laureaci

1. miejsce – Ryszard Fein „Progres widzenia”	2
2. miejsce – Marek Jaskuła „Nowa Ziemia”	6
3. miejsce – Jacek Kalinowski „Opad”	9

Wyróżnieni

Najlepsza praca absolwencka – Maciej Neumann „Nadsprawni”	13
Najlepsza praca młodzieżowa – Mateusz Bredla „Szybkie błyski Nadziei”	16
Marlena Siwiak, Marian Siwiak „Instancja ostateczna”	19
Katarzyna Kamińska „Bezprzytomność”	23
Hanna Lejer „Burza przychodzi, żeby kelner zmienił pracę”	26

Ryszard Fein „Progres widzenia”

BADANIA NAUKOWE PRZYWOŁANE W PRACY

Obserwacje SGR 1935+2154 i innych znanych magnetarów przez radioteleskop z podtoruńskich Piwnic

dr Marcin Gawroński z Wydziału Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej UMK
„Szybki błysk radiowy z naszej Galaktyki”

<https://portal.umk.pl/pl/article/szybki-blysk-radiowy-z-naszej-galaktyki>

– Pani doktor powiedziała, że zostało panu kilka dni, może tygodni, profesorze – oznajmił Piotr.

Cisza i ciemność sali szpitalnej pochłonęły jego głos niczym gąbka. Jedynym źródłem światła była lampka na stoliku obok łóżka, na którym leżał jego wieloletni mentor. Profesor kiwnął głową. Rzadko się odzywał, bo sprawiało mu to ból.

Piotr, oprócz tego, co mówił na głos, chciał przekazać coś jeszcze. Dbając o zachowanie idealnej ciszy, sięgnął do plecaka i wyjął z niego zeszyt A4. Otworzył go na pierwszej stronie, gdzie znajdował się wyraźny napis: „*Mam dla Pana propozycję*”.

– To strasznie przykre – dodał smutnym głosem i przewrócił stronę zeszytu, ukazując kolejny zapis: „*Chcę Panu coś pokazać. To wielki sekret*”.

Zielone oczy starego naukowca błysnęły żywo. Niecierpliwie przebiegły po kolejnej wiadomości: „*Musi Pan zabrać ten sekret do grobu. Zgodzisz się, profesorze, na eutanazję po poznaniu tajemnicy. Nie ma innego sposobu*”.

Młody naukowiec odezwał się jeszcze nostalgicznym tonem:

– Takie są prawa natury. Badaliśmy je całe życie. Dobrze wiemy, że nie da się ich złamać.

Odślonił ostatnią stronę: „*Myślę, że się profesorowi spodoba*”.

Starzec z uwagą przyjrzał się Piotrowi. Znali się od trzydziestu pięciu lat. Wiele pięknych dni przesiedzieli razem schowani w laboratorium. Nie istniały dla nich pojęcia fałszu czy kłamstwa – łączyła ich więź niezrozumiała dla ludzi spoza świata nauki. Liczyły się tylko fakty, dowody i badania, a poszerzanie wiedzy było najwyższą wartością. Ufali sobie bezgranicznie.

Profesor oznajmił swoją zgodę energicznym kiwnięciem głowy. Piotr siedział przez chwilę nieruchomo. Następnie zamknął zeszyt i zaczął metodycznie pakować wszystkie rzeczy umierającego przyjaciela. Wszystkie oprócz smartfona, którego schował w doniczce monstery na parapecie.

Choroba nie pozwalała starszemu naukowcowi na swobodne wystawianie się, ale mógł jeszcze samodzielnie się poruszać. We dwóch udali się do gabinetu ordynatorki.

– Pan profesor chce spędzić ostatnie chwile we własnym domu – oznajmił Piotr.

Lekarka przyjrzała się im badawczo. Profesor potwierdził słowa towarzysza żywym ruchem głowy.

Spędzili jeszcze kilkadziesiąt minut w szpitalu, dopełniając formalności. Piotr co kwadrans zerkał na zegarek.

Wreszcie wyszli na prawie pusty parking. Stycziowa mgła przysłaniała niebo i budynki. Widoczność była ograniczona niczym w oceanicznej głębi.

Piotr otworzył swoją toyotę metalowym kluczem. Samochód został wyprodukowany w XX wieku i nie posiadał żadnej elektroniki. W dwadzieścia minut dojechali do czerwonej kamienicy na obrzeżach toruńskiej starówki.

Na miejscu zobaczyli dwa lecące obok siebie sensoka lub, jak określiłby je profesor, nienawidzący kolokwializmów – transmitery sensoryczne.

Dwie półprzezroczyste kulki oznajmiające swoją obecność migającymi ledami leciały powoli obok siebie, niby para na romantycznym spacerze. Przekazywały pełnię doznań tego miejsca odbiorcom daleko stąd, być może faktycznie dwójce zakochanych.

Naukowcy poczekali, aż świadkowie znikną w oddali, po czym Piotr otworzył drzwi do ceglanego budynku długim prawie jak dłoń, srebrnym kluczem. Weszli do środka.

– Wybacz, profesorze, tę ostrożność – powiedział, kiedy zamknął potrójne drzwi do swojego mieszkania. – Nie możemy sobie pozwolić na najmniejsze podejrzenie.

Starzec pokiwał głową, ale jego wymowne spojrzenie domagało się od przyjaciela wyjaśnień.

Piotr oparł się dłońmi o blat metalowego biurka.

– Zostałem wtajemniczony w projekt, którego skali nie da się przecenić. To, nad czym pracujemy, może być odkryciem definiującym na nowo gatunek ludzki. – Pochylił się lekko do przodu. – To rzecz większa niż wynalezienie silnika albo internetu. To coś jak... rewolucja neolityczna, która przeistoczyła dziczą w cywilizację. – Młodszy naukowiec mimowolnie wypiął dumnie pierś. – Proszę mi wybaczyć ten patetyczny ton wstępu do tematu.

– Tylko obym nie umarł, zanim mi go wyłuszczysz – zachrypiął profesor.

Piotr zaśmiał się, po czym skupił myśli i oznajmił drżącym głosem:

– Dysponujemy technologią, pozwalającą stworzyć tunel czasoprzestrzenny.

Z ust umierającego naukowca wydobył się chytry szept:

– Pokaż.

Gospodarz usadowił swojego mentora na fotelu naprzeciw siebie i sięgnął po grube, miękkie kable. Jeden dla siebie i jeden dla przyjaciela. Obaj przyczepili je sobie do czoła i zapadli się w siedziskach ze sztucznej skóry.

Zakończenia przewodów rozlały się po ich głowach niczym włosy Meduzy. Po chwili ich zmysły zaczęły odbierać bodźce z odległych sensoczu.

Znaleźli się w ciemnym pomieszczeniu z dużą kopułą, na której wyświetlona była mapa nieba. Sala przypominała halę muzeum astronomicznego. Dookoła stały lasery, wzmacniacze próżniowe i inne urządzenia. W ciemności przemieszczało się kilkanaście osobnych transponderów sensorycznych. Odczuwali przyjemny chłód, niczym w murach starego zamku.

W hali rozbrzmiał beznamiętny damski głos z brytyjskim akcentem:

- *The wormhole will be opened with a probe injected in... fifteen minutes.*

Naukowcy rozłączyli się. Wrócili świadomością do mieszkania w Toruniu.

- Ja będę pracował - oznajmił Piotr, sięgając po butelkę z koktajlem energetycznym. - Pan może bezstresowo oglądać.

Profesor uśmiechnął się delikatnie.

Gospodarz napiwszy się, zaczął operować na interfejsie wyświetlonym przez hologram na biurku. Podpinał kable sensoryczne do każdego ze swoich palców.

W międzyczasie wznowił wyjaśnienia:

- Nasza grupa potrafi stworzyć i utrzymać na krótko tunel. Nie będzie on w pełni stabilny, a wysłana materia dotrze do celu tylko częściowo. Próby przeniesienia żywych organizmów na razie kończyły się fiaskiem. Potrafimy jednak wysłać przez niego sondę.

Westchnął głęboko i dodał:

- Pamiętasz, profesorze, magnetary? Te, które obserwowaliśmy miesiącami? Wypuszczały błyski fal radiowych, których nikt nie potrafił wytłumaczyć. Udało nam się wychwycić regułę tych zdarzeń. Wiemy, kiedy spodziewać się sygnału. Dzisiaj tam zajrzemy i zobaczymy, co dzieje się z magnetarem, kiedy generuje owe błyski.

Piotr uśmiechnął się uprzejmie. Zakończył przygotowania, odchylił się w fotelu. Profesor za jego przykładem oddał świadomość mackom transpondera sensorycznego. Przeniósł się do tej samej sali.

Delikatna poświata pozwalała odróżnić kontury przedmiotów. W pomieszczeniu przemieszczały się tylko sensorki. Profesor usłyszał cichy szum. Nie wiedział, czy to szept ludzi czy urządzeń?

- *The wormhole will be opened with a probe injected in... one minute.*

Choć nie pojawił się żaden nowy dźwięk ani światło, starszy naukowiec wyczuł panujące wokół napięcie. Niewidoczni i nieznanemu mu ludzie, uczestniczący w tym eksperymencie, byli skupieni tak mocno, jakby miało od niego zależeć ich życie.

- *Sensoryes have been sent through the wormhole. Please prepare for the transmission.*

Po chwili profesor znalazł się w kosmosie.

Chociaż panowała kompletna cisza, poczuł się, jakby zewsząd płynęła uspokajająca muzyka. Trochę jak podczas medytacji.

Otoczały go obrazy kreślone na nieskończenie odległym płótnie. Pomarańcz, fiolet, biel rozpadającej się mgławicy. Niedaleko niej błękitna galaktyka. Obok – pylisty strumień. Czyste piękno – bogatsze w szczegóły i barwy od rafy koralowej.

Profesor poczuł doznania znane mu z galerii sztuki. Jednak tym razem oglądał kulistą panoramę namalowaną przez samego Boga.

Obrócił się ku najbliższej gwiazdzie.

Płonęła abstrakcyjnie intensywnym światłem. Zdawała się wrzeć! Energia kotłowała się w niej, a naukowiec dostrzegał pływy plazmy w jej błyszczącym kształcie.

Gwiazda na ułamek sekundy zmalęła i znieruchomiła. Profesor wyczuł nadciągający wybuch i choć pamiętał, że jest bezpieczny, złął się jego tytanicznej mocy.

Kątem oka dostrzegł coś, co wcześniej pominął. Pomiedzy gwiazdą a jedną z krążących wokół niej planet wisały obiekty ułożone w prostej linii. Światło odbijało się od nich lekko i nienaturalnie. Nie sposób było dojrzeć ich szczegółów, jednak ewidentnie nie zostały uformowane przez chaos natury.

Gwiazda eksplodowała energią. Światło uderzyło jednak tylko w jedną stronę. Świetlisty promień popłynął prostym strumieniem, uchwycony przez tajemnicze obiekty, wprost na planetę.

Po dłuższej chwili fala promieniowania z wybuchu dotarła do sensoka profesora i sygnał się urwał.

Stary naukowiec wrócił świadomością do pokoju kolegi. Podniecony ściągnął z siebie urządzenie.

Piotr patrzył na niego oczami otwartymi tak szeroko, że aż odstaniały przekrwione spojówki. Nie mrugał.

– Te elementy, które zgarnęły energię wybuchu... One były przemyślane i skonstruowane przez inteligentne byty. I to dalece wyprzedzające ludzkie możliwości. To było dzieło obcej cywilizacji – szepnął. – Nie jesteśmy sami.

Profesor odpowiedział z nieskrywaną pretensją w głosie:

– Teraz to dopiero mam ochotę na życie.

Marek Jaskuła „Nowa Ziemia”

BADANIA NAUKOWE PRZYWOŁANE W PRACY

prof. dr hab. Rajmund Krzysztof Przybylak, Katedra Meteorologii i Klimatologii, Wydział Nauk o Ziemi i Gospodarki Przestrzennej UMK
<https://www.ncn.gov.pl/sites/default/files/listy-rankingowe/2020-03-16pfoa/streszczenia/482653-en.pdf>

Ból stawów przypominał o sobie przy bardziej gwałtownym ruchu ręki. James skrzywił się lekko, wstał i powłócząc nogami doczłapał do lśniącego, wielkiego jak szafa urządzenia. Zapłacił za pomocą skanu siatkówki oka, paru myśli i ruchu spojówki podłączonej do okulusa. Po sekundzie cichego buczenia maszyna wypluła dzienną dawkę leków – trzy małe niebieskie kapsułki, naznaczone dziesiątkami drobnych czerwonych linii. Gdy tylko sięgnął po lekarstwa, opasty dron z kąta mieszkania wzleciał do góry, opuścił trzy giętkie rurki i skierował się w jego stronę. Starzec wziął tabletki do ust i po chwili wahania wybrał sok pomarańczowy. Wziął cienką rurkę do ust i pociągnął, aby popić medykamenty. Po wykonanym zadaniu dron z automatu wrócił na swoje miejsce i podłączył się do prądu. James zerknął na niego na chwilę w zamyśleniu, po czym kilkoma prostymi komendami myślowymi zalogował się na konto bankowe. Niezadowolony ocenił, że ilość mirCoinów jest mniejsza, niż się spodziewał. Leki podrożały, podobnie jak cena elektryczności na obywatela.

„Demagogia... kiedyś tak nie było... – pomyślał. – Jednak nie tak wielka, jak ten nieustający spam – wściekł się na watahę reklam, która zalała jego okulus. - Nawet we śnie dręczą promocjami... zaraza”.

James podszedł do stołu obiadowego i opadł na zautomatyzowany fotel, który od razu rozpoczął procedurę masażu i kontroli temperatury ciała. Starzec przymknął jedno oko, drugie mając otwarte, aby weryfikować, czy okulus poprawnie definiuje jego impulsy mózgowy. W końcu non stop pojawiają się jakieś bugi. Miał rację – gdyby nie kontrolował sytuacji, skończyłby z jakąś tanią sałatką, a nie ulubionym stekiem wołowym. „Komórki macierzyste – zaśmiał się w myślach. – Ostateczne rozwiązanie sprawy wegetarianizmu”. Do picia wybrał yerbę, oczywiście bez fusów, których nie cierpiał. Nie rozumiał, jak ludzie mogą pić coś z pływającymi farfocłami. Świadczyło to przynajmniej o braku ogłady.

Dron obiadowy migiem dolewitował i zaczął kroić stek, a potem podawać go do ust starca. Byli jeszcze tacy, który oldschoolowo posilali się własnymi rękoma. Prawdę powiedziawszy, jeszcze do niedawna i Jamas tak robił, ale parę lat temu jakoś mu się odechciało. Życie stało się zbyt męczące, żeby jeszcze dokładać sobie obowiązków.

Nagle rozległa się głośna seria wystrzałów z karabinu. Potem kolejna.

„A jak byłem mały, to myślałem, że będą strzelać z laserów, jak w tych starych filmach <<Gwiezdne Wojny>> – zaśmiał się w myślach. – A jednak... prymitywna, ale skuteczna, jest ta nasza broń palna”.

Odgłosy pocisków zaczęły tkać regularne melodie, uprzykrzając Jamesowi posiłek. Zrezygnował z delektowania się stekiem. Po prostu go zjadł, wypił yerbę i głośno westchnął. Wstał od stołu i poczłapał w kierunku wielkiego na pół pokoju okna.

Jak zawsze przywitał go widok lasu gigastruktur. Olbrzymie, sięgające setek, a niekiedy nawet tysięcy pięter wieżowce, odziane były w najnowszej generacji panele słoneczne. Wszędzie fruwały drony – jedne transportowały towar, inne dokonywały drobnych napraw, a jeszcze inne patrolowały okolicę. Starzec przeniósł wzrok na oddalony o kilometr wielki mur, od którego dochodziły odgłosy wystrzałów. Dostroił soczewki za pomocą okulusa, po czym spojrzął na żołnierzy w nanopancerzach, którzy stali salwy pocisków w szturmujących obwarowania dzikusów. Bydła było więcej niż ostatnim razem. James patrzył ze spokojem, jak setki barbarzyńców biegną w stronę muru tylko po to, aby paść martwym od kul, chociaż tego nie mógł bezpośrednio zobaczyć, ponieważ same obwarowania zasłaniały mu widok.

„Nielegalni imigranci klimatyczni, jak kiedyś nazywał ich rząd, nim zmienił określenie na terroryści – skrzywił się nieco, ale po chwili wzruszył ramionami. Sam był inżynierem, tak jak jego ojciec, przez co nie miał problemu, aby uzyskać obywatelstwo. Tamci jednak to bezużyteczni potomkowie niszczycieli Ziemi. Bierni wobec szkód, które wyrządzają, ciągle pochłonięci manią konsumpcji. Ci, którzy doprowadzili do załamania klimatu, upadku planety. Napędzali korupcję i nienawiść, przez co w ostateczności spowodowali wojnę światową. Potem kolejną. Choroby, wypalona ziemia, upadek technologii... ciekawe, jak te dzikusy w ogóle są w stanie przetrwać na zewnątrz Okręgu. Szturmują ostatni przyczótek cywilizacji, ostatnie miejsce do życia, aby je pożreć i zniszczyć, tak jak to zrobili z resztą świata. Plenią się bez opamiętania, konsumują dla samej konsumpcji i zawsze wypierają odpowiedzialność. Tak bardzo pragną dokończyć dzieła zagłady, że aż napierają z prymitywną bronią palną na najnowocześniejsze karabiny maszynowe. Nienawistni, zazdrośni i roszczeniowi. Dzieci apokalipsy”.

Jamesa ogarnęło poczucie słuszności, które usprawiedliwiło fakt, że on stał tutaj, a oni byli tam. Wypalony świat jest konsekwencją ich krótkowzroczności, ich ślepego konsumpcjonizmu i piastowania własnego ego. Wynosili na piedestał bezgraniczny indywidualizm, niemal go czcili. Prawda była taka, że chcieli celebrować swój skrajny egoizm. Teraz winni zbierają żniwo przeszłych grzechów, lecz i tak ośmielają się wypierać kary. Wciąż tylko przerzucają odpowiedzialność. Nigdy nie przyznają się do grzechu, nawet przed samymi sobą.

Odgłosy wystrzałów zaczęły ustawać. James odszedł od okna i z grymasem na twarzy opadł na stanowisko przed ośmioma monitorami, w tym dwoma wirtualnymi. Zaczął przeglądać wiadomości i jednocześnie oglądać stare filmy, które zawsze go uspokajały. Miał je dzięki ojcu. Teraz było naprawdę ciężko zdobyć kinotekę z czasów starego świata. Ojciec...

Ojciec chciał, aby on też miał syna. Ta myśl sprawiła, że James poczuł się znacznie gorzej. Zawiódł ojca. Nie uzbierał tyle pieniędzy, aby kupić sobie prawo do dziecka. Za mało pracował, za słabo tego chciał. Dopiero teraz, na starość, rozumiał, jakie to jest ważne – aby ktoś odziedziczył jego spuściznę. Teraz jest już za późno. Ta myśl wydała mu się tak nieznośna, że jedną komendą pozamykał wszystkie filmy i strony.

Postanowił zabrać się do pracy. Wcześniej, niż początkowo zamierzał. Głównie po to, aby zaćmić dręczącą go nostalgię. Pootwieriał bieżące projekty i zaczął w nich dłubać, poprawiając oczywiste błędy, które robiła sztuczna inteligencja. Praca mijała mu szybko, nawet się nie zorientował, kiedy dobiegła dwudziesta. Wstał, aby rozprostować zastałe nogi, po czym ponownie podszedł do okna. Słońce wciąż górowało nad nieboskłonem. Pozostanie tak przez jeszcze

dwa miesiące, aby potem na pół roku zapanował księżyc. Wtedy włączą się dodatkowe elektrownie deuterowe, a las wieżowców rozbłyśnie sztucznym światłem. Pracy będzie jeszcze więcej...

Zaśmiał się w duchu. Kiedyś jego ojciec, jak i on sam za młodu, myślał, że dzięki automatyzacji nie będzie trzeba pracować. Życie to zweryfikowało. Morze niekończącej się roboty i to dla każdego obywatela. Nawet na starość nie odpuszczają...

Zrezygnowany pokręcił głową i zdecydował, że koniec na dziś. Udał się do komory sennej. Włączył firewalla na nocny spam, chociaż nie miał złudzeń, że nic się nie przedrze przez zabezpieczenia.

Ułożył się w gęstej, wygodnej mazi i myślą zamknął za sobą komorę.

Usnął bez świadomości, że tym razem mur nie wytrzyma...

Jacek Kalinowski „Opad”

BADANIA NAUKOWE PRZYWOŁANE W PRACY

„Ekstrakt z konopi remedium na wymieranie pszczół”

<https://portal.umk.pl/pl/article/ekstrakt-z-konopi-remedium-na-wymieranie-pszczol>

– Przyjąłem tę robotę. – Profesor Rafał Kuźniewski odkłada telefon. Boi się spojrzeć na żonę. Tylko raz rozmawiali o propozycji jego dawnej koleżanki z uczelni. Nie potrafił wtedy wyczuć nastroju żony.

– Cieszę się. – Hanna podchodzi i wyciąga do niego ręce. – Chciałam, żebyś podjął właśnie taką decyzję.

– Naprawdę? Nic mi nie mówiłaś.

– Bo nie pytałeś. A nawet jak czasem pytasz, to i tak robisz po swojemu.

Leżąc w łóżku, Hanna kładzie mężowi rękę na klatce piersiowej. Profesor spod półprzymkniętych powiek widzi, jak z dumą i podziwem wpatruje się w jego siwiejącą brodę. To go krępuje, wie zresztą, co żona chce powiedzieć, dlatego woli odezwać się pierwszy.

– Nie robię tego dla ludzi. A na pewno nie dla wszystkich, wiesz zresztą, że nie przepadam za ich towarzystwem.

– Zawsze zastanawiam się, kogo z napotkanych ludzi tak naprawdę lubisz, a przed kim zakładasz maskę uprzejmego gościa.

– Lubię niewielu – przyznaje profesor. – Ciebie. Staszka. Naszą córkę oczywiście, i jej synka w brzuchu też już zdążyłem polubić.

– A propos Niny, dzwoniła do mnie. Ma już skurcze przepowiadające.

– I to jest dobra wiadomość w tym ponurym świecie. Skurcze przepowiadające. Dla niej to zrobię, i naszego wnuka. Bo mi co pozostało? – Kuźniewski odwraca się na prawy bok i naciąga kołdrę pod szyję. – Kilka miesięcy życia. Jak pszczoła. Robotnica w porze zimowej.

Po chwili ciszy oboje wybuchają śmiechem.

Profesor gasi lampkę, żeby w głębi sypialni nie widzieć szafy, gdzie w najniższej szufladzie schował swoją dokumentację medyczną, której od czasu diagnozy nie chciał oglądać.

Długo nie może zasnąć.

Błądzi myślami trzy dekady wstecz, gdy jako doktorant pracował nad ekstraktem z konopi, który mógł uratować pszczoły przed szkodliwym działaniem pestycydów. Jego trzyosobowy zespół naprawdę wierzył, że są bliscy pozyskania remedium. Pierwsze doświadczenia na gru-

pach kontrolnych napawały optymizmem i Kuźniewski czuł, że są bliscy przełomu. Wtedy doszło do tej nieszczęsnej współpracy z naukowcami z Chin, wizyty w ich laboratorium i odebrania grantu na dalszą działalność. Przeżywalność pszczoł stała się tematem tabu, czuł jakiś wewnętrzny opór u władz uczelni i nawet jego profesura zdawała mu się zdobyta przy ogólnej, cichej niechęci uniwersytetu.

Nigdy nie dociekał, skąd wynikła ta nagła zmiana. Był zbyt dumny i choć długo trawił w sobie niedokończone badania nad pszczołami, znalazł w sobie tyle siły, że stał się najlepszym w kraju specjalistą od farmakognozji.

I teraz w świecie, który regularnie odwiedza obca cywilizacja, to właśnie ta nauka o naturalnych substancjach wykorzystywanych jako leki może uratować ludzi.

Tak jak kiedyś miała uratować pszczoły przed ludźmi.

Ludzie nazwali ich ćwierkami, choć nikt ich nigdy nie widział. Chodziło o dźwięki, jakie rozbrzmiewały w głowach, gdy się zjawiali. Przypominało to ptasie trele, ale bardziej szeleszczące, wyższe i po dłuższej chwili męczące.

Ich statki przebijały chmury bez żadnej zapowiedzi. Były drobne, w kształcie czarnej, wydłużonej tzy i pojawiały się w takiej liczbie, że niebo wyglądało, jakby ktoś rozsypał na nim kilka garści maku. Nieruchome i złowrogie, nie wydawały żadnego dźwięku. Po kilku minutach nieboskłon zasysał statki i spuszczał ogromne ilości czegoś, co z pozoru wyglądało jak deszcz, choć było od niego cięższe i szybsze.

Substancję zrzucałą przez ćwierki ze statków nazwano Opadem i dość szybko ją przebadano. Okazało się, że składem przypomina ziemskie pestycydy. Naukowców to zdziwiło, ponieważ spodziewano się pozaziemskich pierwiastków i takie zresztą też wyodrębniono, ale w śladowej ilości, i udowodniono, że to nie one odpowiadają za neurologiczne objawy u nieszczęśników, którzy mieli kontakt z Opadem. Chorobę wywoływały pochodne kwasu fenoksyoctowego i związki choloorganiczne, niemal identyczne z tymi, które od lat wykorzystywane są w rolnictwie. Z tego powodu dominowały dwie teorie dotyczące samego pojawienia się ćwierków: albo przybywają z planety o warunkach zbliżonych do panujących na Ziemi i stoją na podobnym technologicznym poziomie co my, albo... nie ma żadnych ćwierków i za wszystko odpowiadają ludzie.

Tych, którzy na czas nie schronili się przed Opadem lub nie pozamykali szczelnie okien w mieszkaniach, nie obchodziła żadna z tych dwóch teorii. Oni cierpieli już kilka chwil po kontakcie z substancją. Wpadali w otępienie, śpiączkę, następowały zaburzenia widzenia i zwiotczenie mięśni. Marazm ten ani się nie pogłębiał, ani nie ustępował, po prostu – ludzie na wpół wyłączeni leżeli w przepętnionych szpitalach i zwykłych mieszkaniach, gdzie dbała o nich najbliższa rodzina. Nikt nie potrafił przewidzieć, co przyswieceło ćwierkom w powolnym otępieniu ludzkości.

Kiedy dwa dni po odkryciu pestycydów w Opadzie zadzwoniła Anita, profesor Kuźniewski nie był w ogóle zaskoczony. Spodziewał się wręcz tego telefonu.

– A więc zostaliśmy pszczołami? – powiedział ponuro, kiedy jego dawna koleżanka z uczelni nakreśliła wizję ekstrakcji z liści i łodyg preparatu, który chroniłby ludzi przed działaniem Opadu.

– Pszczołami? – Anita zabrzmiała, jakby usłyszała to słowo pierwszy raz. – Do pięć im nie dorastamy. Ale w pewnym sensie tak, zajęliśmy ich miejsce. Wtedy ich nie uratowaliśmy. Mieliś czas, żeby to przetrwać. Teraz możesz uratować ludzi. Pytanie, czy pomożesz?

Profesor najpierw odmówił, później zostawił sobie furtkę, a Anita dzwoniła co drugi dzień.

Dwa miesiące zwlekał z odpowiedzią.

Aż do dzisiaj.

Zgadza się, stawiając jeden warunek. Będzie pierwszym i na razie jedynym człowiekiem przyjmującym ekstrakt. Ten, z pomocą ultradźwięków i wodnych roztworów alkoholi, zostaje uzyskany dość szybko – po dwóch miesiącach intensywnej pracy w uczelnianych laboratoriach. Spora część roboty została wykonana trzydzieści lat temu, przy pracy z pszczołami, co Kuźniewskiego napawa osobistą satysfakcją.

Anita nie zna całej prawdy. Oprócz profesora ekstrakt wypija również jego żona. Kuźniewski uznał, że tak będzie bezpieczniej, zarówno wtedy, gdyby praca okazała się sukcesem, oraz na wypadek, gdyby miał zapaść w letarg tuż po kontakcie z Opadem.

Wypijają dwie dawki na tydzień. Przez niemal trzy miesiące.

W tym czasie ćwierki dwukrotnie pojawiają się na niebie, a Opad powoduje natychmiastowe zmiany neurologiczne u szesnastu milionów osób na całej planecie. Łącznie niemal z połową ludzkości nie ma już kontaktu.

Pod koniec marca ćwierki wyływają na bezchmurne niebo.

Profesor Kuźniewski czekał na ten moment. Długo obejmuje żonę.

– Puść mnie, bo nie mogę oddychać. Żegnasz się ze mną?

– Nie wiem – szczerze odpowiada mężczyzna. – Nawet jeśli nie, to lada chwila będziemy musieli mieć to za sobą. Więc jaka to różnica?

– Zadzwoń lepiej do Niny. Miała termin na przedwczoraj.

Profesor uśmiecha się i wychodzi przed dom akurat w chwili, kiedy pierwsze sine krople Opadu uderzają w parapet i chodnik. Przesiąka w kilka sekund, ubranie klei się do gorącego ciała, jakby przebiegł właśnie półmaraton. Substancja wpełza mu do uszu i zawisa na końcówce nosa. Profesor wystawia twarz do nieba i choć krople uderzają z coraz większą siłą, otwiera usta. Opad nie ma smaku ani zapachu. Oblepia skórę, mimo że z trawy i asfaltu niemal natychmiast wyparowuje, nie zostawiając kałuż.

W końcu urywa się gwałtownie, jakby ktoś zakręcił olbrzymi prysznic.

Profesor otwiera oczy. Czuje się świetnie, tak samo jak przed wyjściem z domu. Przebiega przed ulicę i niemal taranuje drzwi.

– Wiesz, co kiedyś powiedział Albert Einstein?! – woła od progu. – Że jak znikną pszczoły, to wkrótce to samo stanie się z ludźmi. A wiesz, co stałoby się, gdyby zniknęli ludzie? Pszczoły nawet by tego nie zauważyły!

Przytula żonę, jakby długo się nie widzieli. Po chwili ściąga mokrą odzież. Hanna pakuje ją do plastikowego worka.

Prysznic przynosi ulgę. Profesor czuje, że mógłby spędzić pod gorącą wodą jeszcze kilkanaście minut, ale zwycięża chęć podzielenia się z Anitą rezultatami ich wspólnej pracy. Zakręca w końcu kurek, wyciera rękę i łapie za leżący na półce telefon. Nie zdąża jednak nawet go odblokować, kiedy rozbrzmiewa dzwonek, a na ekranie pojawia się przychodzące połączenie.

Zięć.

– Ponad cztery kilogramy? – Kuźniewski po chwili niemal krzyczy do słuchawki. – Kawał chłopca! Czeaj, już wołam matkę do teffonu.

Zauważa, że płacze mu się język. Zrzuca to na karb ekscytacji i osłabienia długą kąpielą w gorącej wodzie. Owija się ręcznikiem w pasie i wychodzi z łazienki.

– Haniu... – Uchyła drzwi od sypialni.

Na łóżku dostrzega żonę. Leży na wznak, z szeroko rozrzuconymi ramionami. Jej kończyny wydają się przeraźliwie długie i naraz profesorowi przypomina się wypadek, którego był świadkiem kilkadziesiąt lat temu. Auto potrafiło ośmioletniego chłopca na pasach. Mimo drobnej postury chłopiec też miał długie kończyny i w podobny sposób zastygł na jezdni.

– Hanka.

Profesor czuje mdłości, jakby w żołądku wyrósł mu kwiat, którego łodyga chce wyjść przez gardło. Opiera się całym ciężarem na kłamce i ma wrażenie, że od drzwi do łóżka dzieli go kilometr.

Wie, że już nie uda mu się tam dotrzeć.

Maciej Neumann „Nadsprawni”

BADANIA NAUKOWE PRZYWOŁANE W PRACY

Zakład Podstaw Kultury Fizycznej, Wydział Nauk o Zdrowiu CM UMK

Sport osób niepełnosprawnych – przedmiotem badań są podstawowe aspekty aktywności fizycznej człowieka zdrowego i niepełnosprawnego ze szczególnym uwzględnieniem zmian poziomu jego sprawności fizycznej

<https://www.wnoz.cm.umk.pl/kizpkf/zasadnicze-kierunki-badan-naukowych>

Świat śródziemnomorski oraz Barbaricum w starożytności

Instytut Archeologii, Wydział Nauk Historycznych UMK

<https://www.wnh.umk.pl/nauka/kierunki-badan>

Mechanika podróży w czasie, Instytut Temporalny

<https://www.temp.umk.pl/czas/badania> (strona dostępna od lutego 2233)

Szerokie uderzenie ciężkim, dwuręcznym bojowym młotem minęło cel o centymetry. Na całe szczęście, inaczej Trak już by leżał nie tylko nieprzytomny, ale z co najmniej pękniętą czaszką. Co nie byłoby wskazane, biorąc pod uwagę fakt, że walki gladiatorów z reguły kończyły się rozbrojeniem przeciwnika, a nie jego śmiercią czy nawet kalectwem. Co z kolei nie było dziwne, zważywszy na koszt wyszkolenia dobrego gladiatora i ich status w rzymskim społeczeństwie.

Jednak na dłuższą metę Trak i tak nie miał szansy przeciwko olbrzymiemu blondynowi. Jego nieduża tarcza mogła wytrzymać jedno, góra dwa uderzenia młota, a zakrzywiony nóż, chociaż długi, nie zapewniał przewagi dystansu wobec jeszcze dłuższej rękojeści broni przeciwnika. Nic więc dziwnego, że gdy Annus wykorzystał swój moment obrotowy i po pełnym piruecie wyprowadził drugi cios, tym razem niżej, trafił centralnie w tarczę, która z oszałamiającym trzaskiem pękła na kilka kawałków. Trak poleciał co najmniej dwa metry w bok, wypuszczając przy tym z dłoni swój nóż.

Ale największe zalety Annusa, czyli wzrost i masa oraz ciężka broń, były czasem jego największą wadą. Tak stało się i teraz: zanim blondwłosy gladiator dobiegł do gramolącego się z ziemi przeciwnika, ten zdążył odzyskać nóż. Pierwsze machnięcie było jeszcze nieco na oślep, ale już drugie rozcięło tydkę Annusa. I chociaż rana była głęboka, to krwawiła zaskakująco słabo, a na dodatek nie odnosiło się wrażenia, że właściciel zranionej nogi w ogóle odczuwa jakiś ból. Publiczność przyzwyczajona do zachowań Annusa tylko lekko zaszemrała, nawet przez chwilę nie sądząc, że jej faworyt może przegrać pierwszą walkę w swej historii. I faktycznie, na kolejny cios Trak nie miał już szans, olbrzym najpierw sparaliżował mięśnie ręki precyzyjnym ciosem młota w bark, przez co nóż stał się bezużyteczny, a następnie kopnięciem drugiej, zdrowej nogi w głowę pozbawił przeciwnika przytomności. Po czym tylko lekko dysząc, pomimo wydawałoby się sporego wysiłku w upalnym słońcu, oparł stopę na piersi pokonanego i spojrzął na trybunę główną. Zresztą na cesarza skierowały się oczy całego Colosseum. Ten bez wahania wyciągnął kciuk w dół, wiedząc, że gdyby skazywał na śmierć wszystkich pokonanych rywali blondwłosego Weneda, to w krótkim czasie w imperium zabrakłoby chętnych do

walki z nim. Myśli Annusa szły najwyraźniej tym samym torem, nie wyglądał bowiem na zdziwionego okazaną Trakowi łaską, nie zaszczycił go nawet spojrzeniem, odszedł pod trybunę oddać salut Imperatorowi, po czym zszedł do podziemi.

Tam jak zwykle kłębił się tłum: kolejne pary czekały na wyjście na arenę, laniści udzielali im ostatnich wskazówek, niewolnicy biegali jak koty z pęcherzem, roznosząc uzbrojenie, oporządzenie, różne przedmioty potrzebne gdzieś „na już” oraz ustne polecenia. A przy zewnętrznym korytarzu, z jednej strony ograniczonym kratą i poprzez nią otwartym na Rzym, kłębił się tłum kibiców. Pomiedzy nimi także stali niewolnicy, z tym że ci wyposażeni zostali przez swe właścicielki w bileciki, które mieli doręczyć wybranym gladiatorom. Toteż gdy po kilku kwadransach Annus wyszedł z szatni i skierował się ku wyjściu, wyciągnęły się ku niemu liczne ręce. Wysoki, mocno zbudowany niewolnik w dość bogatych szatach, podał kartkę z imieniem Lea. Inny, niższy, ale na oko nie słabszy niż tamten, wpychał bilet z imieniem Eri, a obok kolejny, niczym szczególnym się niewyróżniający, dzierżył kartkę z imieniem Flavia.

* * *

Te trzy ręce, z leżącymi na nich trzema kartkami z damskimi imionami, widniały zamrożone na ekranie olbrzymiego, zasłaniającego pół ściany holowizora. W prawym górnym rogu widniał zegar, odliczający od pięciu minut do zera.

– Z którą damą Annus pójdzie dziś na randkę? Zegar tyka, nie ociągaj się z wyborem! W międzyczasie zapraszamy na reklamy... – Obraz rąk zniknął zastąpiony przez twarz młodej dziewczyny przewracającej oczami i oblizującej usta. Lektorka zaczęła zmysłowo opowiadać o jakimś nowym farmaceutyku pomagającym spotęgować doznania łózkowe, zarówno solo, w parach, jak i trójkątach i innych wielokątach, w tym przestrzennych. Oraz na jawie i w VR.

Siedząca przed ekranem otyła kobieta w średnim wieku nie zwracała jednak na spot uwagi. Nie żeby jej nie interesował, po prostu środek ten zakupiła natychmiast po tym, gdy pierwszy raz ujrzała reklamę. Ponadto teraz jej koncentracja poświęcona była w całości rozbudowanemu pilotowi do holowizji, ponieważ jej serdelkowate palce miały problem z trafieniem w odpowiednie ikonki.

– Flavia to zdzira – mruzczała. – Miała już wszystkich z Top 10 z wyjątkiem ciebie, więc niedoczekanie. Ale Lea ma dopiero 17 lat, a ja w jej wieku...

Kobieta jakby nie pamiętała, że ona nie tylko w wieku 17 lat, ale nawet teraz, zbliżając się do czterdziestki, nigdy nic. Ale przecież przy podejmowaniu decyzji ludzie nigdy nie są racjonalni, nawet gdy próbują kierować się rozumem, w najlepszym wypadku dotyczy to tylko argumentów świadomych, natomiast do swej podświadomości nikt się nie przyzna. To dlatego niemal czterdziestoletnia dziewczyna zachowywała się jak przysłowiowy pies ogrodnika, a żyjąc w stanie permanentnej frustracji, decydowała, by życie innych nie było lepsze niż jej. Frustracja nie była bynajmniej seksualna, bo ta w XXV wieku była rozładowywana jednym pstryknięciem, a raczej kompleksowa. Poczucie straconego życia, zły wybór szkoły, brak pracy, nieudane związki – to wszystko zrobiło ze szczupłej niegdyś i ładnej nastolatki przedwcześnie postarzałą i otyłą babę.

– Z kolei Eri jest w związku z Halem – trwał monolog. – Ale facet to też jeden z naszych, więc niech będzie ciekawie. – Po czym z mściwą satysfakcją wcisnęła ikonkę przypisaną przez organizatorów show do imienia Eri.

Wybór jej oraz milionów widzów na całym świecie oznaczał, że centralne komputery stacji wizyjnej transmitującej „Nadsprawnych” podsumowały wyniki głosowania i przestały je poprzez czas i przestrzeń do odległego o cztery i pół tysiąca lat Janusza. A właściwie Annusa, bo takie imię przyjął po przeniesieniu do starożytnego Rzymu. Wynik głosowania niby nie był wiążący, Annus mógł samodzielnie podejmować decyzje, ale będąc kontrolowanym przez nanokamery przez całą dobę, podlegał permanentnej ocenie widzów. A ci bywali mocno niezadowoleni, gdy ich bohater stawał się nazbyt niezależny i potrafili w kwartalnym głosowaniu przegłosować śmierć niegdyś ukochanej postaci. Zresztą chociaż momenty wyboru oddawane widzom były dość częste, to zawsze były logicznym skutkiem wcześniej podjętych przez zawodnika decyzji.

Po przeniesieniu w przeszłość trzeba było znaleźć zawód – im bardziej medialny, tym lepiej – i zacząć zarabiać na chleb, ewentualnie założyć rodzinę. Według własnego uznania, ale tak, aby widzowie chcieli jak najdłużej oglądać zawodnika, najlepiej aż do końca kontraktu. Wtedy budziło się sprawnym i wciąż młodym człowiekiem w swoich czasach. Oraz bogatym i sławnym.

W społeczeństwie nieodrywającym się od holowizji, w cywilizacji urzeczywistniającej sny Huxleya, show polegający na pokazywaniu niegdysiejszych kalek jako wysportowanych herosów, na życie których każdy mógł mieć wpływ, okazał się strzałem w dziesiątkę. Chętnych nie brakowało, nie tylko dostawali młode w pełni sprawne ciała, a nawet nadsprawne dzięki inżynierii genetycznej poprawiającej siłę, szybkość, wzmacniającej kości i tym podobne, ale jeszcze możliwość przeżycia swego życia na nowo. Nawet jeśli ceną było oddanie swej prywatności; nanokamery w oczach do realizacji ujęć „z pierwszej osoby”, a nawet groźba utraty życia, nie jawiły się jako zbyt wielka cena.

A to nie był ostatni głos nauki na służbie rozrywki! Byli tacy, co kierowali wzrok ku morzu, i „Taniec z rozgwiazdami” zdawał się tylko kwestią czasu...

Mateusz Bredla „Szybkie błyski Nadziei”

BADANIA NAUKOWE PRZYWOŁANE W PRACY

„Detection of two bright radio bursts from magnetar SGR 1935+2154”

dr Marcin Gawroński

<https://arxiv.org/abs/2007.05101>

<https://www.youtube.com/watch?v=Gw6qi6x42fs>

Ziemia z tej perspektywy wyglądała na zabawnie małą, żalostną. Z każdą sekundą malała, a wraz z nią – problemy, które UNS „Elpis” zostawiał w tyle. Kapitan Thomas Wilson przyglądał się temu widokowi poprzez szybę kajuty z przeświadczeniem, że ostatni raz widzi swój dom. Słońce wydało wyrok na Ziemię – wiedzano to od 20 lat, kiedy to obliczono, że w ciągu parudziesięciu lat nasza gwiazda swoim gigantycznym rozbłyskiem pozbawi planetę warstwy ozonowej – jedynej ochrony przed zabójczym promieniowaniem. W roku 2146 nie było już odwrotu. Po pokonaniu przez ostatnie stulecie wielu przeciwności przez ludzkość – o ironio, w większości spowodowanych przez nią samą – przedstawione jej zostało ostatnie zadanie, musiała zwyciężyć z Heliosem. Mimo wszystko, mimo długich starań – nie znaleziono sposobu uniknięcia ostatecznej zagłady. Desperacja sięgnęła apogeum – chwytano się teorii spiskowych, hipotez, dopóki nie znaleziono badań z minionego wieku, prawie że zapomnianych. Badania te, przeprowadzone jeszcze w roku 2027, pozostawiały nadzieję. Zaobserwowano wtedy powtarzający się Fast Radio Burst, którego źródło zlokalizowano za pomocą radioteleskopów – udało się określić jego konkretne położenie, choć – paradoksalnie – nie znajdując tam żadnych obiektów kosmicznych. Swego czasu odkrycie to wywołało wiele kontrowersji w środowisku naukowym, z czego wiele hipotez zakładało intencjonalność tych sygnałów. Z biegiem czasu zapomniano o tych badaniach i przywołano je niemal wiek później, szukając rozwiązania – jak ją potocznie zaczęto nazywać – „kwestii słonecznej”. Źródło sygnału znajdowało się w Drodze Mlecznej, „zaledwie” dwadzieścia pięć tysięcy lat świetlnych od Ziemi. Nie znajdując innej alternatywy, zaczęto budowę statku UNS „Elpis” osiągającego zawrotną prędkość pięćdziesięciu milionów kilometrów na godzinę, choć to nadal tylko jedna dwudziesta prędkości światła, przez co podróż zajęłaby pół miliona lat. Thomas nie wiedział, czego się spodziewać u celu, tak samo jak nie wiedzieli tego ludzie, którzy tam go wysłali. Wielu naukowców pozostałych na Ziemi spodziewało się znaleźć tam gwiazdę neutronową bądź czarną dziurę. Stała regularność sygnału, niezmienna od liczącego ponad cały wiek jego odkrycia, tylko utwierdziła w przekonaniach największych fanatyków wierzących w ratunek przez obcą cywilizację, do których, o dziwo, zaliczano wielu wcześniej szanowanych naukowców, najwyraźniej pozbawionych innego źródła nadziei.

Nadzieja. Thomas wyczuwał wszędzie na statku jej atmosferę, kiedy wcześniej się po nim przechadzał, tak jakby z całej Ziemi wydłubano ostatki tego pierwiastka i nie marnując ani krzty, wepchnięto całość do tej ciasnej przestrzeni, do „Elpis”. Męczeńska, okupiona śmiercią jednej ze stron transfuzja – życie za życie. Ludzkość pozostała na planecie nie potrzebowała już nadziei – każdy znał prawdę. Ziemia umrze. Ich misja nie zakładała powrotu – nie było do czego wracać. Ostatnią nadzieją ludzkości były: domysł, wiara, lot w nieznanne. Gdyby im się

poszczęściło, znaleźliby tę rzekomą cywilizację. Gdyby im się poszczęściło, kontynuowaliby gatunek ludzki. Gdyby tylko szczęście dopisało. W przeciwnym wypadku ludzkość, o zatrważającej populacji wynoszącej po dotarciu do celu jedynie paruset załogantów spoczywających już w swoich komorach kriogenicznych, zmniejszyłaby się o tę dokładną liczbę. Gatunek zagrożony wyginięciem. Kapitan po raz ostatni spojrział na Ziemię, pozbawioną nadziei, już martwą, choć ostatnimi siłami trzymającą się swoich funkcji życiowych – biegająca kura bez głowy, która moment później upada, jeszcze pogrążona w coraz lżejszych, przedśmiertnych spazmach. Zaśmiał się pod nosem. Lekko uklonił się w stronę swojej rodzicielki, Gai -- teraz już tylko ledwo zauważalnej kropki w odmętach kosmosu. Pragnął obiecać – sobie? Ziemi? Ludzkości stojącej na pograniczu życia i śmierci? – że nie zawiedzie. Koniec końców z jego ust nie wydobył się ani jeden dźwięk. Odwrócił się, i podążył ku swojej komorze kriogenicznej, gdzie zautomatyzowana aparatura pogrążyła go w pół śnie, pół jawie.

Statek dotarł do planety. Była niepodobna do Ziemi, ale miała w sobie coś znajomego, jak to stwierdził Thomas. Dostosował prędkość „Elpis” do pierwszej prędkości kosmicznej tego ciała niebieskiego dzięki wyliczeniom komputera na pokładzie i statek rozpoczął ruch po orbicie. Reszta jego załogi nadal pozostała zamrożona, miał więc czas, by przyjrzeć się planecie. Zlecił komputerowi analizę, która wykazała optymalne warunki funkcjonowania dla węglowych form życia. Zachodził w głowę, jak ta planeta mogła ukrywać się przed wzrokiem astronomów przez taki szmat czasu obserwowania tych okolic - naturalnie nie doszedł do żadnych racjonalnych wniosków. W tym samym momencie na statku zapadła ciemność, a po sekundzie światła alarmowe oślepiły Thomasa. Przy akompaniamencie syreny rozpoczęła się symfonia, do której niedługo potem dołączył kojący, żeński wokół, głos tego statku, Elpis. „Naruszono integralność strukturalną skrzydła zachodniego. Wykryto formy życia w strefie zagrożenia – cały personel proszony jest o opuszczenie sektora F. Za 30 sekund rozpocznie się dekompresja sektora.” Wiadomość została powtórzona jeszcze raz, po czym rozpoczęło się odliczanie. Sektor F to magazyn, a przecież wszyscy byli jeszcze zamrożeni w swoich komorach, w sektorze B, a niemożliwym było, by ktoś zmienił protokół wybudzania – jedyną osobą z takimi uprawnieniami był Thomas. Zaciekawiony, choć czujny, udał się do miejsca wypadku. Dotarłszy do śluzy łączącej magazyn z korytarzem, odkrył, że nie może jej otworzyć. Była w użyciu, co go przeraziło. Gdy zautomatyzowany proces kompresji po drugiej stronie się zakończył, hermetyczne wrota otworzyły się. Ukazały się przed nim trzy galaretowate istoty, w wyprostowanej pozycji. Ta stojąca pośrodku, wyciągnąwszy do zszokowanego Thomasa coś, co wyglądało jak kończyzna, wydała z siebie dźwięk podobny do tych wydawanych przez delfiny. Kapitan wyciągnął swoją prawicę i nastąpił pierwszy Kontakt.

Thomas wybudził się z komory kriogenicznej, gdy statek dotarł na wskazane koordynaty. Jak przez mgłę pamiętał ze snu tylko łaskoczące uczucie na jego prawej dłoni. Rozejrzał się po pomieszczeniu z jego uspiętymi współzałogantami. Niektóre komory utraciły funkcjonalność, będąc teraz istnymi sarkofagami. Nie ma się co dziwić – jeśli się udało, musiało minąć pół miliona lat. Statek był w opłakanym stanie, mimo zautomatyzowanych systemów napraw i konserwacji. Najważniejsze funkcje działały: sterowność, większość komór kriogenicznych, hydraulika i elektryka. Thomas udał się do mostka kapitańskiego i zasiadł na fotelu z wyhaftowanym swoim imieniem. Jest jednym z najdłużej żyjących ludzi, zaśmiał się w duchu, po czym uświadomił sobie, że wszyscy nadal istniejący przedstawiciele *homo sapiens* są jego półmilionoletnimi rówieśnikami. Zastanawiał się, czy wciąż określenie „Ziemianin” jest adekwatne do sytuacji, w której się znaleźli. Kosmiczni włóczędzy, bez konkretnego celu, bez domu, bez niczego. Wreszcie spojrział na rozpościerający się przed nim gwiazdny widok – przed sobą nic nie ujrzał. Z tyłu – ta sama pustka. Nic? Rozkazał komputerowi wykonanie skanu – pusto.

Z przerażeniem w oczach polecił ponowienie skanu – efekt był ten sam. Niemożliwe. Powoli, drżąc jakoby ze strachu, schylił się nienaturalnie nisko, a trzęsącymi rękoma złapał się za głowę. Nadzieja ludzkości – nic więcej jak anomalia. Nadzieja ludzkości – poza jej zasięgiem, niewykrywalna, niewytłumaczalna, niewidoczna. Nadzieja ludzkości, jej ostatnia nadzieja – nieistniejąca. Nie, nie, nie. Nadzieja? Złudzenie? Czy naprawdę ktokolwiek wierzył, że znajdziemy tu wysoko rozwiniętą cywilizację? Czy ktokolwiek wierzył, że zdołamy się z nią porozumieć? Czy ktokolwiek wierzył, że wiara coś zmieni? Czy Thomas – czy on wierzył? Cała ta szopka – nazwa statku, obwieszczenie mianem „Ostatniej Nadziei”, wiara, że ukrywając się pod tym pojęciem, uciekniemy od rzeczywistości, zanegujemy proste prawdy, znane przez nas wszystkich, umieszczone przed naszymi oczami przez ten cały czas, tak obrzydliwie oczywiste – cała ta szopka, żałosna. Wyprostował się, spojrzął przed siebie. Reszta załogi nie może się dowiedzieć. Przepętnieni tym – czym to właściwie jest? – dziwnym stanem duszy, aż do ostatnich momentów. Niewiedza, że zawiedli -- błogosławieństwo. Tu kończyła się droga prometejskich dzieci, glinianych żołnierzyków, zrodzonych z ognia i łez. Ogień – i łzy. Nadzieja – desperacja. Elpis – apelpisia. Thomas rozkazał obrać kurs na centrum masy najbliższej gwiazdy. Elpis ponownie się odezwała, tym razem na jawie. „Odmowa dostępu. Niezgodność z protokołami bezpieczeństwa. Nieunikniona kolizja.” Wprowadził stan awaryjny i powtórzył rozkaz, spokojnym głosem. Minął moment w doskonałej ciszy, tak jakby...

zrozumiała.

„Obieram kurs. Miłej podróży, kapitanie.”

Marlena Siwiak, Marian Siwiak „Instancja ostateczna”

BADANIA NAUKOWE PRZYWOŁANE W PRACY

Badania nad informatyką neurokognitywną (modelowaniem ludzkiego mózgu, ergo umysłu, przy pomocy programów komputerowych) prowadzone w Uniwersyteckim Centrum Doskonałości przez grupę zajmującą się Neuroinformatyką i Sztuczną Inteligencją, w skład której wchodzi m.in. prof. dr hab. Andrzej Cichocki i prof. dr hab. Włodzisław Duch.

„Why minds cannot be received, but are created by brains”

W. Duch, July 2017, *Scientia et Fides* 5(2), DOI: 10.12775/SetF.2017.014

„Sieci neuronowe w modelowaniu chorób psychicznych”

W. Duch, K. Dobosz, w „Sieci neuronowe w inżynierii biomedycznej” pod redakcją R. Tadeusiewicz, W. Duch, J. Korbicza, L. Rutkowskiego, Wyd. Exit, str. 637-666, 2013

<https://damsi.umk.pl/en/centre/neuroinformatics-and-artificial-intelligence>

W zaświatach zamiast chorałów gregoriańskich przywitały go egzystencjalne zdania muzyczne Erika Satie. Zdania nieodmiennie kończące się znakiem zapytania. Spodziewał się oczywiście: światełka w tunelu, boskiej jasności czekającej u kresu podróży. Tymczasem ocknął się jak po pijackim zamroczeniu, nie wiedząc, co to za miejsce, skąd się tu wziął ani dlaczego nawet blask stojących na stoliku świec sprawia, że musi mrużyć oczy.

Rozejrzał się. Pomieszczenie nie było większe od mieszkania, które opuścił na zawsze i, podobnie jak ono, nie miało okien. Tam, gdzie zwykle tkwiły panele emitujące światło, wstawiono witraż nawiązujący do prac Alfonsa Muchy. Do tego tapety zdobione arabeską, motywy florystyczne na dywanie, lampa z abażurem – belle époque pełną gębą. Niby elegancko i komfortowo. Niby tak, jak obiecywał prospekt. Skąd więc te zawieszony w powietrzu pytania?

Uniósł dłoń do oczu, uginając i prostując palce. Nie licząc zaburzeń ostrości na obrzeżach pola widzenia, odwzorowanie było doskonałe. Tak doskonałe, że z ekscytacji drżała mu ręka. Opuścił ją na udo i zaczął bawić się materiałem spodni. Jeszcze wczoraj miętosił sztywny rant szpitalnej koszuli. Ciekawe, co się z nią stało? Została skremowana czy ktoś ją z niego zdjął, wyprał i przekazał następnemu pacjentowi? Dlaczego nagle zaczęło to mieć dla niego znaczenie? Dlaczego miało znaczenie, czy w czasie Procedury zaczął trząść się na stole i czy puściły mu zwieracze, czy też po prostu usnął godnie i po cichu? Pomacał skronie i potylicę, szukając pod palcami śladów po elektrodach i czujnikach. Nie był pewny, czy wczoraj miał aż tak rzadkie włosy, ale na dobrą sprawę nigdy w życiu nie był pewny niczego, co dotyczyło jego osoby. Czemu więc dziś wydało mu się to dziwne?

Zamarł, gdy do pokoju weszła jego żona. Zestaw VR, przy pomocy którego komunikował się z nią przez ostatnie dziesięć lat, nie oddawał jej sprawiedliwości. Procedura bardzo się jej przysłużyła. Już w czasie v-spotkań wyglądała młodziej i zdrowiej, niż kiedy ostatni raz widział ją twarzą w twarz, ale trudno się dziwić – wtedy była wyniszczona chorobą. Dziś, w długiej, zwiewnej sukience z odstłoniętymi ramionami, przypominała muzę witrażysty. Albo anioła,

gdyby zdecydowano się pozostać przy tradycyjnej estetyce. Jak to się stało, że taka kobieta związała się z kimś takim jak on?

Spróbował wstać na powitanie, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

- Daj sobie jeszcze trochę czasu, Dave. - Evie uśmiechnęła się uspokajająco. - Mózg po Procedurze musi się dostosować do zmian w neuromotoryce i odbiorze zmysłów.

- Zmian?! - syknął zaniepokojony. - Nikt nic mi nie mówił o żadnych zmianach! To trwałe?

Evie machnęła niecierpliwie ręką i bez słowa zajęła miejsce po drugiej stronie stolika.

- Przepraszam - mruknął. - Wiesz, jak trudno było mi się zdecydować...

- Wiem. Jak się czujesz?

- Niepewnie? - Uśmiechnął się kwaśno. - Ale to chyba nic nowego.

Evie tynęła zaskoczona, ale zamiast skomentować to wyznanie pomachała jakąś kartką, która nie wiedzieć skąd pojawiła się w jej dłoni.

- Dostałam listę tematów, które powinniśmy poruszyć, żeby określić twoje podobieństwo do stanu sprzed Procedury.

- Po co?

- Spokojnie. To tylko ankieta do wewnętrznych statystyk firmy. Dowód, że w dziewięćdziesięciu ośmiu przypadkach na sto mają idealną zgodność z oryginałem i jakością usług biją konkurencję na głowę. - Wzruszyła ramionami. - Zresztą mam już doświadczenie. Jako najbliższa osoba prowadziłam podobne wywiady z moimi braćmi, gdy zdecydowali się na Procedurę.

Dave nie był zachwycony pomysłem, ale nie miał ochoty zaczynać nowego życia od sprzeczeki.

- Musisz korzystać z... tego? - Skrzywił się, wskazując na formularz. - Myślałem, że co jak co, ale pamięć będziemy mieć lepszą.

- Zapominanie jest elementem człowieczeństwa... To w ogóle jeden z tematów, jakie powinniśmy poruszyć. - Zerknęła na druk i nerwowo oblizała wargi. Wyrecytowała bezbarwnie: - „Co chciałbyś zapomnieć z życia przed Procedurą?”

Dave zmarszczył brwi, a po chwili wybuchnął gorzkim śmiechem.

- Chcą, żebym teraz siedział i opowiadał ci, o czym chcę zapomnieć? Serio? - W jego oczach błysnął ogień, na widok którego kobieta skuliła ramiona. Dave przestał się śmiać i łagodnie poklepał żonę po dłoni. - Najbardziej to chciałbym zapomnieć ten wyraz na twojej twarzy, wiesz?

- Jaki wyraz? - Evie zmusiła się do uśmiechu.

- Ten też. - Opadł na oparcie krzesła i z zaciśniętymi ustami wbił wzrok w sufit. - Z drugiej strony... skąd mieliby wiedzieć, że rzeczy, o których mogę chcieć zapomnieć, to te same rzeczy, o których chciałbym, żebyś ty też zapomniała.

- Jakie rzeczy? - zapytała cicho, odwracając głowę.

– Takie jak nasza rozmowa sprzed dwóch dni. I ta sprzed tygodnia. Wszystkie te, kiedy próbowałam... przekuć moje kompleksy w twoje poczucie winy.

Evie przyglądała mu się w milczeniu. Zerknęła na kartkę. Na niego. Znów na kartkę.

– Myślałam, że raczej... będziesz chciał zapomnieć o tych, z którymi byłam, jeszcze zanim cię poznałam. I tych, z którymi spędzałam czas tu, zanim zdecydowałeś się na Procedurę, i z powodu których jeszcze w zeszłym tygodniu... robięś mi wyrzuty.

– Żeby nie było, wcale bym się nie obraził na selektywną amnezję! – rzucił półzartem i natychmiast spoważniał, widząc, że Evie wcale nie było do śmiechu. – Ale jak sobie przypomnę, co o tym myślałem, jeszcze kładąc się na stół...

Kobieta smutno pokiwała głową.

– Szczerze mówiąc, gdy zobaczyłam pytania, zastanawiałam się, czy nie pominąć tego tematu. Spodziewałam się...

– Że jak zwykle skończy się tym, że ty się popłaczesz, a ja wybiegnę stąd, mamrocząc przekleństwa pod nosem. – Westchnął i rozłożył ręce w przeproszającym geście. – Jak chcesz, mogę wyjść i trzasnąć drzwiami, ale wolałbym przejść przez resztę tych twoich pytań. Co tam masz?

Evie omiotła dokument wzrokiem i szarpnęła za przeciwległe rogi. Papier rozciągnął się nienaturalnie, po czym pękł w połowie, formując dwie identyczne kartki.

– Sam sobie przeczytaj.

Dave nieufnie sięgnął po formularz. Spróbował naśladować ruch żony, ale w palcach został mu tylko oderwany róg.

– Spokojnie, nauczysz się robić kopie.

– Jeśli to kolejny test, to chyba powinienem się teraz wściec i próbować obwinić cię za moją porażkę, prawda?

– Nie byłabym tym zaskoczona – przyznała Evie, unikając jego wzroku. – Ale nie, to nie jest test.

– Procedura, jak widać, może mieć swoje dobre strony – mruknął ponuro. Zamaskował wstyd filuternym uśmiechem. – Wszystko tu daje się tak kopiować? Bo mam parę pomysłów. – Wymownie spuścił wzrok. – Może...?

– Przestań! – parsknęła Evie.

– Dlaczego? – Wbił w żonę łąpczywe spojrzenie. – Kiedyś wspominałaś, że chciałybyś mieć siostrę bliźniaczkę. A po tak długim czekaniu jednej ciebie może mi być za mało.

– Widzę, że pewne rzeczy się nie zmieniły. – Evie odwzajemniła wreszcie uśmiech. Wyglądała, jakby spadł z niej jakiś dźwigany od dawna ciężar.

Dave nalał im po filiżance herbaty.

– Myślisz, że coś takiego jest w ogóle możliwe? – zapytał poważnie, z zaciekawieniem zaglądając do wciąż pełnego dzbanka.

– Kopiowanie ludzi? Wykluczone! Nie tłumaczyli ci tego na wprowadzeniu? Transfer świadomości wymaga rozwoju konglomeratu sprzętowo-programistycznego...

– Czytałem ten bełkot, ale to może była prawda dekadę temu, kiedy po cyfryzacji jeden pies na tysiąc w ogóle reagował na swoje imię. Przy mocy obliczeniowej, którą mamy teraz, mogliśmy emulować...

– Nadal niemożliwe! Każda z kopii uważałaby siebie za oryginał!

Dave skubnął w zamyśleniu brodę. Znow dopadły go wątpliwości sprzed Procedury. Najlepszy dowód na to, że on to on. Wczoraj usnął na stole, a dziś obudził się tutaj. Zgodnie z prawem dopuszczalna była tylko jedna instancja jego osoby, a skoro siedział przy cyfrowym stole i pił streamowaną herbatę, jego ciało nie wróciło do domu na kolację.

Ale czy nie o to chodziło? Gdy dzieci wyfrunęły z gniazda, comiesięczna walka o domknięcie domowego budżetu przestała być koniecznością. Na tamtym świecie, na tym świecie, koszty życia były nieporównywalnie niższe i to nawet uwzględniając zaciągnięty na Procedurę kredyt. Wreszcie będzie mógł przejść na zasłużony pełny etat. Odpadną wydatki na leczenie, zdrową żywność i filtry powietrza. Nikt nie będzie żądał od niego dwóch trzecich pensji za wynajem kawałka przestrzeni oraz stałych opłat abonamentowych za korzystanie z chodnika, ławki, parku, naturalnego światła. W zaświatach stworzenie nowej planety to kwestia dodatkowego komputera w serwerowni, a z perspektywy jej mieszkańca – groszowych opłat eksploatacyjnych.

Na razie.

Evie obserwowała jego wahanie. Wreszcie klasnęła dwa razy i obie kopie formularza rozplynęły się w powietrzu.

– To już nie będzie nam potrzebne. Z ulgą stwierdzam, że nie jesteś w stu procentach sobą...

Nim skończyła mówić, ściany pomieszczenia stały się półprzezroczyste. Przez ułamek sekundy, potrzebny, by ostatni elektron przemknął po układzie scalonym, kończąc proces usuwania plików, dostrzegli setki identycznych jak oni par, gdzie rozmowa także nie przebiegła zgodnie z oczekiwanym scenariuszem.

Gdzieś tam jakiś pies zareagował na swoje imię i pozwolono mu istnieć.

Katarzyna Kamińska „Bezprzytomność”

BADANIA NAUKOWE PRZYWOŁANE W PRACY

„Innowacyjne techniki badania mózgu człowieka w zdrowiu i chorobie”
Kierownik projektu: prof. dr hab. n. med. Aleksander Araszkiewicz
<https://icnt.umk.pl/badania/zespol-neuro>

W laboratorium drobinki kurzu migotały w zachodzącym słońcu niczym płatki cienkiego srebra. Gabriela Płatko weszła do środka, drganiem swoich nerwowych kroków ożywiając biały bezruch sali. Uczelniane obowiązki, terminy końcowe badań i sprawozdań zdawały się ją osaczać ze wszystkich stron. Zdawała sobie z nich sprawę dopiero, gdy skumulowały się w podstępny sposób. Były jak bezgłośne owady oblepiające człowieka, który zasnął na łące w środku lata.

Płatko wzdrygnęła się na samą myśl o swoich dzisiejszych planach. Potarła w zamyśleniu palcem o skroń. Dobrze mieć kogoś cierpliwego u boku, pomyślała, widząc swoją asystentkę Nadzię, zasuwającą za sobą drzwi do wnętrza drugiej części laboratorium, z której zazwyczaj nie korzystały.

– A, tu jesteś. Co tam robiłaś? – zapytała Gabriela, włączając holograficzny tri-ekran projekcyjny. Turkusowe światło odbiło się w jej oczach, jakby były zrobione ze szkła. Nadia milczała.
– Czy znów szukałaś czegoś o moich badaniach, o których mam zamiar ci dopiero opowiedzieć?

– Przepraszam, pani Profesoro. Wydaje mi się jednak, że postąpiła pani tak specjalnie, żeby tylko wzbudzić moją ciekawość. Powtarza pani często, że próby badawcze niczym nie różnią się od tych starych zagadek detektywistycznych opartych na paradoksie; najpierw trzeba zrozumieć, czego brakuje, żeby zbudować z tego cały obraz sytuacji.

Kobieta pokiwała głową z uśmiechem.

– W ostatnim czasie zastanawiałam się dużo nad tym, że ludzie już nie chcą być obecni. Chcą istnieć, ale na własnych zasadach, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Są istotami stadnymi, które wykształciły u siebie chorobę indywidualizmu absolutnego.

Płatko zrobiła chwilę przerwy na napicie się syntetycznego mleka, dając Nadii czas, żeby przetrawiła jej wcześniejsze słowa.

– Jak wtopić się w tłum, jednocześnie pozostając jak najbardziej sobą, realizować tylko i wyłącznie siebie? Jak nie czuć się samotnym, będąc samemu? Wtedy pomyślałam o mszycy.

– Mszycy?

– Kiedy byłam małą dziewczynką, czytało się jeszcze wtedy papierowe książki. Przeglądając atlas roślin i owadów, zwróciła moją uwagę, bo jako jedyny z owadów przedstawiono ją zalaną w bursztynie. *Aphidomorpha*. Szybko zmieniająca się, dostosowująca się tempem produkcji,

zapożyczająca swoje cechy od innych. Umie oszukać biedronki, imitując mrówki, żyjąc z nimi w symbiozie, podstępnie wyzerając ich zapasy. Jest, jakby to ująć, żeby pociągnąć tę metaforę morfowania – wilkiem w owczej skórze. Cechuje ją niezwykła plastyczność fenotypowa. Ludzie aspirują do podobnych rzeczy, ale odpadają w fazie wielozadaniowości. Próbuje się dopasować, jednocześnie starają się realizować własne, indywidualne potrzeby. I przez to cierpią, ich umysły nie wytrzymują presji przez brak czasu i możliwości samorealizacji. Wielu choruje, popada w zaburzenia psychiczne. Przyszło mi więc do głowy – po co rozpoznawać przyczyny, kategoryzować, skoro każdy indywidualny przypadek możemy teraz wyleczyć za pomocą własnej świadomości?

– Co pani ma na myśli? – zapytała zaniepokojonym głosem Nadia. Płatko machnęła ręką, na tri-ekranie ukazała się głowa, z której czoła w głąb czaszki pulsowały zielone, rozgałęziające się jak korzenie drzewa neonowe impulsy.

– Mszyca – powtórzyła Nadia.

– Mała, świecąca na jasnozielono albo przezroczysta. Przyczepiasz ją w miejscu między guzkiem naskrawkowym ucha a policzkiem. Mniej więcej tu, pod skronią.

– Mszyca? Jak to wymówią Amerykanie albo Niemcy? Jak to sobie pani wyobraża?

– A jak jest po angielsku „mszyca”? Chyba *greenfly*? To będzie Greenfly. Dlatego świeci się na zielono. Według pragmatyki kolor w każdym języku będzie uniwersalny, nawet jeśli mszyce w danym kraju nie występują. Niepozorna, ale niezawodna. Ludzie ukryliby się w niej jak w koninie, a ona stymulowałaby metabolizm, procesy oddychania i wydalania. – Płatko przesunęła dłonią przed tri-ekranem, powiększając obraz rozświetlonego płatu skroniowego. – Pamiętasz, Nadziejko, tę niedorzeczność z chipami w szczepionkach, kiedy to było, z czterdzieści lat temu? Miałam wtedy dziesięć lat. Możesz obwiniać ówczesną pandemię za mój brak nabytych umiejętności w integracji społecznej i chęć rozwiązania zawichości tego konceptu.

– To nie jest śmieszne.

– Wiesz dobrze, że w dużej mierze myślimy schematami. Wielu chciałoby osiąść i zastosować kod albo wzór, żeby dotrzeć do drugiego człowieka i zdobyć jego akceptację. Inni pragnęliby uniwersalnego wzoru na szczęście, na szybki przyptływ dobrego samopoczucia. Pierwszymi chipami sterującymi nastroje i nagłe wzrosty dopaminy były smartfony w swojej fazie zewnętrznego rozwoju. Już wtedy ludzie silnie się od nich uzależniali. Teraz mogliby to kontrolować. Mszyca analizowałaby anomalie w falach mózgowych i oddziaływała na nie. W skrajnych przypadkach można by było wprowadzić się w śpiączkę, a mszyca organizowałaby pracę umysłu. Eliminowałaby stres, traumy, wymazywałaby jak antywirus to, co niepotrzebne i zaburzące prawidłowy tok myślenia.

– Wie pani, że tak naprawdę w ogóle nie mamy wpływu na swoje myśli? Przychodzą w większości samoistnie, na zasadzie impulsów, zewnętrznych stymulantów – stwierdziła Nadia.

– Oczywiście, w pełni się zgadzam. Ale oprócz myślenia towarzyszy ci jeszcze bardziej świadomy już terror wyboru, koszmar analizy i decyzji. Wyobraź to sobie. Męczysz się w biedzie? Podłączasz się, wegetujesz, generujesz minimalne koszty życia. Męczysz się z samą sobą? Podłączasz się i żyjesz marzeniami, które wydarzają ci się przed oczami. Mszyca stymulowałaby wyrzutami endorfin i kortyzolu, serotoniny i estrogenu. Nie nudziłabyś się już nigdy, a jednocześnie wyeliminowałabyś u siebie wszystkie negatywne uczucia. Można powiedzieć, że

wprowadziłabyś się w stan leczniczej bezprzytomności – dodała Płatko, a na jej twarzy pojawił się triumfalny uśmiech świadczący o zakończonej z powodzeniem dyskusji.

- Wszystkim grozi od tego derealizacja. Unikanie trudnych emocji to nie rozwiązanie.
- Słuchaj, zdążyliśmy już osiągnąć to, czego zawsze wszyscy chcieli – zaprojektować cechy fizyczne dziecka w łonie matki. Powiemy, że chcemy w ramach kontynuacji przebadać dorosłe już projekty. To programowanie dzieci też wtedy było nie wiadomo jaką kontrowersją, a zobacz, jak się skoczyło – nie z hukiem, ale ogromną melancholią. Wszyscy są piękni jak androidy, ale dalej skonfliktowani wewnętrznie, cierpiący i nieidealni.

- A co z moralnością?

- Moralność kończy się tam, gdzie pojawia się ratunek dla ludzkości, dobrze o tym wiesz. Jest coraz gorzej z klimatem, pola i lasy płoną, Grenlandia zamieniła się w *whisky on the rocks*, a piątą grupę kolonizatorów Marsa zasiekł czerwony deszcz. Świat to jedna wielka katastrofa. Greenfly nikogo by nie krzywdził – wszystko wydarzałoby się w tobie samej.

Gdyby wszyscy nagle zasnęli, Ziemia odetchnęłaby z ulgą. Ja już poczułam się lepiej, na samą myśl o tym wszystkim. – Płatko uśmiechnęła się do asystentki, ale inaczej niż wcześniej. Wyglądała jak triumfalny wizerunek uhonorowanej wynalazczyni. Nadia nie wiedziała, jak ma się zachować. Płatko przerwała jednak chwilę ciszy, podchodząc do niej.

- A czy wiesz, co najlepiej i niepodważalnie obrazuje fakt, że Greenfly działa?

- No, słucham, co?

- To, że nie istniejesz, Nadziejko – powiedziała. Dziewczyna zamarła z bladym uśmiechem. Jej błędny od skrępowania wzrok zatrzymał się na półprzezroczystym, skrzącym się niczym ekto-plazma wizerunku mózgu na ekranie. – A mimo to doskonale mi pomogłaś. Dziękuję. Zakończ symulację – powiedziała wyraźnie Płatko, dotykając swojej skroni. Dziewczyna zniknęła, pozostawiając kobietę w pustej sali.

To, co potem nastąpiło po masowej instalacji Mszyicy, nazwano w dziejach ludzkości "Wielkim Snem". Ludzie odeszli od dawnych siebie, zjednoczyli się na nowo, w swoich kokonach odnajdując swoje prawdziwe, upragnione ja – bez lęków i obaw o przyszłość, bez wspomnień z przeszłości, balansujące na krawędzi wiecznej teraźniejszości. Czy można mówić o chaosie, jeśli wszyscy stali się w swoich oczach idealni?

Przestano między sobą walczyć, ustały konflikty zbrojne, i te mniejsze, prywatne. Ziemia nabrała głębokiego oddechu, sytuacja z nieistniejącą już prawie powłoką ozonową ustabilizowała się. Ludzie nie przejmowali się już opinią na swój temat i relacjami z innymi, bo najważniejsza stała się dla nich relacja z samymi sobą. Gdy pewnego dnia przebudzili się przez awarię systemu, byli niczym Adam i Ewa, ale w pełni ubrani, gotowi, by cofnąć się do raju.

A pojedyncze mrugnięcia ich powiek przypominały skrzydełka mszyc drgające w zastygłym bursztynie.

Hanna Lejer „Burza przychodzi, żeby kelner zmienił pracę”

BADANIA NAUKOWE PRZYWOŁANE W PRACY

„W poszukiwaniu psychofizycznych i neuronalnych korelatów temporalnego czynnika g: percepcja kolejności bodźców a inteligencja ogólna”

dr Monika Lewandowska, Interdyscyplinarne Centrum Nowoczesnych Technologii UMK
<https://icnt.umk.pl/badania/granty>

Alicja mieszała niespiesznie kawę, w której znajdował się dawno już rozpuszczony cukier. Mechaniczność tej czynności pozwalała jej jednocześnie wpatrywać się w krople deszczu spływające po szybie i rozmyślać o pracy. Zasobów uwagi nie starczyło już na wysłuchiwanie kolejnego monologu przyjaciółki.

Sobotnie popołudnia w kawiarni miały stanowić rodzaj wentylu bezpieczeństwa, zapewniającego higienę zdrowia psychicznego. Alicja, jako psycholog z wykształcenia, godziła się na nieświadomie, choć bez entuzjazmu. Obserwując kolejną kroplę spływającą niespiesznie tuż przy okiennej ramie, zaczynała powoli wątpić w sensowność tych cotygodniowych praktyk.

Mając prawie trzydzieści lat podejrzewała już, że jej nabyty w ostatnich studenckich latach pracoholizm stanowił, oprócz niezaprzeczalnej naukowej pasji, formę ucieczki przed niepowodzeniami życia osobistego. Po co więc godziła się na tę odskocznnię od pracy, polegającą głównie na roztrząsaniu krótkotrwałych i zawsze burzliwych romansów Agnieszki?

Zwykle bywa tak, że rozmówca przytępuje nieuważnego słuchacza gwałtownym i nieoczekiwanym zadaniem jakiegoś pytania. Przedłużająca się cisza wyrwała Alicję z zamyślenia.

- Tak? - rzuciła niepewnie.
- Zgadzasz się? - Agnieszka wyraźnie oczekiwała potwierdzenia.
- Przepraszam... czy mogłabyś powtórzyć?

Agnieszka skrzywiła się zabawnie. Praktyka terapeutyczna nauczyła ją wyrozumiałości. Już dawno przestała ją irytować wiecznie nieobecna rozmówczyni. Powtórzyła więc cierpliwie:

- Pytałam, czy nie chciałabyś go przebadać.
- Chcesz go sprawdzić? - Alicja zaśmiała się szczerze. - Wiesz, że badania są anonimowe.

Agnieszka machnęła ręką.

- Nie wątpię w jego inteligencję. Właśnie dlatego pomyślałam, że byłby to dla ciebie... um... cenny obiekt badawczy.

- Dziękuję, że tak się troszczysz o dobór naszej próby, ale nie rozumiem, po co mi o tym mówisz. Wiesz, że wciąż czekam, aż odwiedzisz mnie w instytucie.

Przyjaciółka zmieszała się nieco.

– No tak, tak. – Po chwili odzyskała entuzjazm. – On się interesuje nauką, jest programistą, ale niesamowicie wszechstronnym.

Alicja westchnęła.

– Nabór jest otwarty, wszystkie informacje są na stronie internetowej. Jeśli tak go to interesuje, to niech wpadnie, najlepiej razem z tobą.

*

Alicja z wściekłością obserwowała słońce wychodzące zza chmur. W drodze do kawiarni zupełnie przemokła. Deszcz zapowiadali dopiero na wieczór. Nie to było jednak najgorsze. „Niech pani pamięta jutro o parasolu”. Tak właśnie powiedział, kiedy spotkała go na schodach w piątek. Co za złośliwy palant.

– Poproszę melisę.

Kelner oddalił się pospiesznie.

– Co się dzieje? – zapytała zaniepokojona Agnieszka.

Alicja wahała się przez chwilę. Wreszcie odchrząknęła i spytała:

– Spotykasz się jeszcze z tym... Michałem?

– Nie, a dlaczego pytasz?

– To dobrze, to bardzo dobrze.

– Czemu pytasz? – powtórzyła rozbawiona Agnieszka. – Był w instytucie? Czyżby wpadł ci w oko?

– Tak! Nie! – Alicja zgrzytnęła zębami. – Był w instytucie i nie wpadł mi w oko!

– To dlaczego o niego wypytujesz?

– Po pierwsze próbował zaprosić mnie na kawę. Twierdził, że bardzo zależy mu na rozmowie. Byłam przekonana, że się spotykacie, więc oznajmiłam mu wprost, co o tym myślę. Wiesz, co odpowiedział? Powiedział, że spotykasz się z Andrzejem. Miał chyba na myśli tego kretyna, z którym zerwałam miesiąc temu.

Zapadło długie milczenie. Kelner przyniósł zamówienie. Gdy odszedł, Agnieszka wyznała powoli:

– Wiesz, jakoś tak wyszło, że się pogodziliśmy.

Znów cisza.

– Mówiłaś, że to idiota.

– To było straszne nieporozumienie.

– Kiedy się pogodziliście?

- Wczoraj...

- Wczoraj...

To nie miało sensu.

- Kiedy przestałaś się spotykać z tamtym gościem? – zapytała Alicja.

- Z Michałem? Właściwie widzieliśmy się tylko parę razy, jeszcze przed naszą ostatnią rozmową.

- Później nie kontaktowałaś się z nim w żaden sposób?

- Nie.

- A kiedy zaczęłaś znowu spotykać się z Andrzejem?

- O co ci chodzi? – zapytała zniecierpliwiona Agnieszka.

- Martwię się o ciebie! Ten człowiek to jakiś chory facet.

- Mówiłam ci, wyjaśniliśmy sobie wszystko z Andrzejem...

- Ja mówię o Michale! To stalker, może cię szpieguje!

- Ten programista?

- Nie jest programistą! – rzuciła Alicja przez zęby. – Przedstawił się jako architekt!

Agnieszka zamyśliła się.

- Dziwna sprawa. Chociaż jak teraz o tym myślę, byłam wtedy zdenerwowana. Uciekł mi ostatni autobus, lało jak z cebra, a on mnie podrzucił. Może pokręciłam jakieś szczegóły, może wspominałam coś o Andrzeju. Przecież wiesz, że pamięć płata nam figle.

Alicja podniosła do ust filiżankę, oparzyła się, syknęła, odstawiła. To, co mówiła przyjaciółka, brzmiało sensownie, ale przecież...

- To nie wszystko. Nie powinnam nikomu mówić o wynikach, ale w tej sytuacji po prostu muszę. Drań świetnie się bawi. Te badania są do niczego.

- To znaczy?

- Fałszuje rezultaty. Pamiętasz, jak opowiadałam ci o naszych eksperymentach? Sprawdzamy, czy osoba badana rozpoznaje, w jakiej kolejności pojawiają się określone sygnały. Kiedy następują bardzo szybko po sobie, mogą wydawać się równoczesne. Ten facet ciągle popełnia błędy i robi to specjalnie.

- Skąd wiesz? Może po prostu ma słaby refleks?

- Nie. Podaje sygnały w odwrotnej kolejności. To nie ma absolutnie żadnego sensu!

- Przykro mi. Pozostaje w takim razie po prostu skreślić go z listy.

- Wszystkie inne wyniki są ponadprzeciętne! Sto na sto, rozumiesz? Robert wziął się, że trzeba przeprowadzić studium przypadku! Reszta ekipy jest zdania, że mogło dojść do specyficznego uszkodzenia pamięci ultrakrótkotrwałej i że trzeba koniecznie to zbadać.

- W takim razie intuicja mnie nie zawiodła. Bardzo ciekawy obiekt badawczy.
- Nie żartuj. Ten człowiek jest dla mnie utrapieniem.
- Może faktycznie ma jakieś zaburzenia pamięci.
- Mówię ci, on symuluje. Jest niebezpieczny. Ma coś takiego w oczach, że aż mnie ciarki przechodzą.

Agnieszka popatrzyła na przyjaciółkę z ukosa.

- Wiesz co, może umów się z nim na tę kawę?

*

Kto normalny pije brandy przy trzydziestostopniowym upale? Alicja drżącą ręką uniosła i przechyliła szklankę. Czuła, jak gorąco rozlewa się na języku. Przełknęła.

- Wiesz, czym jest inżynieria wsteczna?

Nie czekając na odpowiedź kontynuowała:

- Wyobraź sobie, że masz bardzo zaawansowane urządzenie. Wiesz, że jak wprowadzisz na klawiaturze skomplikowane równanie, to otrzymasz wynik, ale nie rozumiesz, w jaki sposób to się dzieje. Program nie wie, że działa na twoje zlecenie, a ty nie rozumiesz mechanizmu jego motywacji. A teraz wyobraź sobie, że można w ten sposób zaprogramować sytuację, że można tak sterować człowiekiem. Wiesz o nim wszystko. Tylko nie rozumiesz, co przeżywa.

- Sztuczna inteligencja?

Alicja wyglądała, jakby miała gorączkę.

- Powiedział mi o tym.
- Poczekaj, poczekaj. Mówisz o tym rzekomo genialnym facecie? Brzmi jak regularne urojenia.
- Powiedział mi, gdzie byłam, co jadłam...
- O cholera. Miałaś rację, jest niebezpieczny. Musisz to zgłosić.
- Nikt mi nie uwierzy.
- Musisz powiedzieć na policji to, co powiedziałaś mnie. On cię prześladowa i próbuje tobą manipulować.

Zagrzmiało.

- Burza przychodzi, żeby kelner zmienić pracę – wyszeptła Alicja, wpatrzona w jeden punkt.
- Co ty wygadujesz?

Nagle kelner przewrócił się tuż obok ich stolika. Brzęk rozbijanego szkła przykuł uwagę gości. Wytrawne chilijskie wino rozlało się po posadzce.

- On to powiedział! Przewidział to! – Alicja rozplakała się histerycznie.

– Przerażasz mnie. – Agnieszka rzuciła przyjaciółce zatroskane spojrzenie. – Słuchaj, załatwię ci dobrego lekarza. Przepracowujesz się.

*

– Dzisiaj nie przyjdzie. Wyjechała z Andrzejem na weekend, pamiętasz?

Kobieta w zszarzałym, różowym szlafroku uśmiechnęła się. Alicja oderwała wzrok od mokrej szyby. Jej oczy rozszerzyły się gwałtownie.

– Już się poznałyśmy, pamiętasz? – spytała kobieta.

– Śpisz w tej samej sali co ja, cierpisz na schizofrenię – wymamrotała mechanicznie Alicja.

– Bywa tak, że świadomość jest przywilejem szaleństwa. Dlatego tu jesteś.

Kobieta wstała i podreptała w stronę okna.

– Spacerując po mieście, widzisz kamienice na rynku, a za kilka kroków szpaler drzew w parku. A jednak lecąc samolotem, zauważasz i kamienice i drzewa. Ciekawe, prawda?

Alicja wcale nie miała ochoty na rozmowę z tą dziwną kobietą, a jednak mimowolnie spojrzała jej w oczy. Momentalnie przeszyły ją dreszcze.

– Kim jesteś?

– Jedni programują maszyny, inni projektują kawiarnie, a jeszcze inni piszą opowiadania. Tu, gdzie obecnie się znajdujesz, wszystko to może mieć więcej wspólnego, niż ci się wydaje.

Alicja rozplakała się bezradnie. Zaskoczona swoją reakcją rzuciła krótko:

– Chcę stąd wyjść.

– Pracujemy nad tym – odparła kobieta. – Wierz mi, na dłuższą metę nie ma nic ciekawego w obserwowaniu tykającego zegarka. Póki co jesteś znakomitą uczoną.

– Nie chcę! Gdyby nie te badania, nie byłoby mnie tutaj!

– Gdyby nie było cię tutaj, nie byłoby twoich badań. To niesamowite, jak żywotne są idee. Niebawem zrobimy ci ładny awatar i przekonasz się sama. Daję ci słowo. Daję słowo.